

NATALIE C.
ANDERSON

**MIASTO
ŚWIĘTYCH
I ZŁODZIEI**

Dla wszystkich dziewczyn,
które nie są tylko uchodźcami

Copyright © 2017 by Natalie C. Anderson.

Tytuł oryginału: City of saints and thieves

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO INITIUM

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Tłumaczenie z języka angielskiego: MARTA WERONIKA NAJMAN

Redakcja i korekta: ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA

Korekta: NATALIA MUSIAŁ

Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz „Panczakiewicz Art Design”

Skład i łamanie: PATRYK LUBAS

Fotografia użyta na okładce © Magdalena Zyzniewska / Trevillion Images

Współpraca organizacyjna: Anita Brylewska, Barbara Jarząb

WYDANIE I

ISBN 978-83-62577-58-3



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

Druk i oprawa: DRUKARNIA README, www.readme.pl

NATALIE C.
ANDERSON

MIASTO
ŚWIĘTYCH
I ZŁODZIEI

Tłumaczenie z języka angielskiego

Marta Weronika Najman



initium
wydawnictwo

KRAKÓW 2017

Od autorki

Kilka słów o tym, jak autorka pozwoliła sobie obejść się z prawdą:

Większość tej historii została oparta na prawdziwych wydarzeniach i losach prawdziwych ludzi żyjących we wschodniej części Demokratycznej Republiki Konga. Łamanie praw człowieka, zwłaszcza wobec kobiet, jest tam na porządku dziennym. Chociaż opowieść o Anju jest fikcyjna, czerpie z historii prześladowań, które usłyszałam osobiście, pomagając uchodźcom w Kenii i pracując z dokumentami takich ugrupowań, jak Human Rights Watch i Rada Bezpieczeństwa ONZ. Firmy w sektorze wydobywczym tworzą potrzebne miejsca pracy, ale niewątpliwie wykorzystują przy tym chaos i korupcję, które toczą ten region. Każdego dnia kolejni uchodźcy uciekają do krajów ościennych, chcąc żyć w pokoju i poczuciu bezpieczeństwa. Konflikt zbrojny trwa nieprzerwanie, jest złożony i ignorowany przez większość krajów na świecie.

Jednocześnie wschodnie Kongo to przepiękne miejsce. Jego mieszkańcy to ludzie zwykli i niezwykli, wyjątkowo godni, którzy, podobnie jak wszyscy inni mieszkańcy świata, po prostu próbują egzystować po swojemu. Z narażeniem życia odważne kobiety i mężczyźni pracują każdego dnia, by pomóc zakończyć konflikty. Troszczą się też o ocalałe ofiary przemocy. Niedostatecznie zaopatrzone kliniki, jak szpital misyjny ukazany w powieści, działają na przekór rozlicznym trudnościom. Jeśli moja historia poruszyła Cię na tyle, byś chciał się dowiedzieć więcej, możesz poczytać o następujących ośrodkach: Solidarité Féminine pour la Paix et le Développement Intégral (sofepadi.org), mieści się w prowincji Kiwu Północne w Demokratycznej Republice Konga; Sister Angélique Namaika's Centre for Reintegration and Development w Prowincji Wschodniej; Panzi Hospital w Bukavu; a także HEAL Africa w Gomie. To prawdziwe elementy tej opowieści.

A nieprawdziwe są: postaci, miasto Sangui i Kasisi – to wytwory mojej wyobraźni. Oczywiście skłamałabym, gdybym powiedziała, że, podobnie jak wielu innych autorów, nie jestem sroką. Nieustannie kradnę rzeczy z prawdziwego życia i korzystam z nich, by przystroić moje gniazdo. Osoby, które znają Kenię, mogą wyobrazić sobie Sangui jako połączenie pięknego wybrzeża Mombasy ze zgiełkiem Nairobi. A choć Kasisi nie jest prawdziwym miasteczkiem, to terytorium Walikale i miasto Walikale w Kiwu Północnym istnieją naprawdę.

Modlitwa do Świętej Katarzyny powstała na kanwie dwóch innych modlitw: 1) John James Burke, Bonaventure Hammer, *Mary, Help of Christians, and the Fourteen Saints Invoked as Holy Helpers* (Londyn: Forgotten Books, 2013), s. 234–235 (pierwsze wydanie w 1909 roku); oraz 2) Réalta [an] chruinne Caitir Fhíona: St. Catherine of Alexandria [McKenna, L.: *Aithdioghluim Dána* (Irish Texts Society, numery 37, 40, 1939/40), wiersz 99].

Wszelkie błędy, niedopatrzienia i nieścisłości są moją, i tylko moją winą; serdecznie za nie przepraszam i dziękuję za wyrozumiałość.

Słowniczek

Z suahili, wliczając sheng¹:

askari: strażnik; wojownik; imię psa Cathi

buibui: skromne, czarne odzienie, noszone przede wszystkim przez muzułmańskie kobiety na wybrzeżu Afryki Wschodniej

bwana: pan

dengu: rodzaj zupy z fasoli (zwykle z fasoli mung)

habari ya jioni: „Dobry wieczór”

habibi: (arabski) czułe słówko

hatari: niebezpieczeństwo

hodi: słowo używane, by zaanonsować swoją obecność, zwykle w czyimś domu

jua kali: dosłownie „gorące słońce”, dotyczy nieformalnego rynku w Kenii. Jako przymiotnik jest odpowiednikiem „zaimprovizowanego” czy „prowiźorycznego”

¹ Sheng: stale ewoluujący slang uliczny będący połączeniem suahili i angielskiego, używany przede wszystkim przez młodzież z kenijskich miast.

kaŋga: popularne kolorowe tkaniny, owijane wokół ciała w Afryce Wschodniej; wzory z reguły zawierają powiedzenia lub przysłowia

kaŋzu: długi, biały strój (tunika), noszony głównie przez muzułmańskich mężczyzn

kaŋribu: „Witaj”

kaŋuzi: złodziej

kijana: młody (chłopiec); nastolatek

kitenge/vitenge: kolorowa tkanina popularna w Afryce Wschodniej i wschodnim Kongu

Kwani?: „Co? ”/„Co takiego?”

mandazi: smażone ciasto, przysmak uliczny

matoke: zielony banan (platan)

mavi: obelżywe słowo na odchody, którego nie powinien używać przy swojej babci

mdosi: pan; szef

mokele-mbembe: (lingala) potwór z legend, rzekomo zamieszkujący koryto rzeki Kongo

mwizi: złodziej

mzee: pan (zwykle określa starszego mężczyznę)

mzingo: granica

mzungu: (suahili) osoba biała

ngai: Bóg

nyanya: (suahili) babcia

panga: maczeta

piki-piki: mały motocykl

pili-pili: ostry sos chili

polepole: „Powoli, powoli”

polisi: policja

shoga: (sheng) bardzo niegrzeczne określenie osoby homoseksualnej. Nie używaj tego słowa, nigdy, przenigdy

shonde: (sheng) inne obelżywe słowo na odchody, którego nie powinieneś używać przy swojej babci

sonko: (sheng) bogaty

sukuma/sukuma wiki: warzywo przypominające kapustę pastewną

thegi: (sheng) złodziej

ugali: gotowana kasza kukurydziana, popularne danie w Kenii

WaBenzi: *Wa* = z (częste określenie plemienia). *Benzi* to slangowe określenie Mercedesa-Benza. *WaBenzi* oznacza więc „plemię Mercedesa-Benza”

wache waseme: ze starej piosenki w suahili, „A niech gadają”

weh: od *wewe*, czyli „ty”

Z francuskiego:

bienvenue: „Witaj”

comptoir: handlarz złotem; pośrednik
(może też oznaczać punkt handlu złotem)

voleur: złodziej

Podziękowania

Mówią, że potrzeba całej wioski, aby wychować dziecko. W przypadku tej książki potrzeba było wioski, kilku miast średniej wielkości, kilku kontynentów, a także nieskończenie wielu członków rodziny, przyjaciół, przyjaciół rodziny, nieznajomych i innych osób, by powołać do życia tę książkę. Spróbuję dokonać niemożliwego, czyli wyrazić, jak wdzięczna jestem za wszelką pomoc, którą otrzymałam na tej drodze.

Muszę zacząć od kobiet, mężczyzn i dzieci z Demokratycznej Republiki Konga, którzy opowiedzieli mi swoje historie podczas wywiadów poprzedzających osiedlenie, a także pozostałych, którzy po prostu opowiedzieli mi swoje historie, by świat o nich nie zapomniał. Dzielenie się takimi opowieściami to akt odwagi, więc dziękuję za podzielenie się nią ze mną. Mówienie, że jestem wdzięczna, byłoby niedopowiedzeniem; jestem pod ogromnym wrażeniem. Jestem dłużniczką przede

wszystkim Women's Group w RefugePoint w Nairobi, szczególnie C. i R. Często o Was myślę. Gdy twierdzę, że ta książka jest dla dziewczyn (i kobiet), które są nie tylko uchodźczyniami, myślę o Was i Waszych dzieciach.

Mam niesamowite szczęście, że urocza i twarda Faye Bender jest moją agentką. Moją przewodniczką po tajemniczym świecie wydawania książek, która zawsze wie, co zrobić, jak to zrobić, kiedy i dlaczego, a do tego znajduje czas, by komentować moją pisaninę, trzymać mnie za rękę i dzielić moje ekscytacje. Dziękuję, że uwierzyłaś w tę historię. Dziękuję, że motywowałaś mnie, bym była lepsza.

Stacey Barney, wydawca w Putnam – jesteś magiczna. Jestem bardzo wdzięczna, że mogliśmy razem pracować nad tą książką, a każdego dnia ta wdzięczność tylko rośnie. Bycie wśród Twoich podopiecznych to spełnienie marzeń. Uwielbiam to, że stawiasz przede mną wyzwania, zadajesz te najtrudniejsze pytania, zachęcasz, komplementujesz, dopingujesz, a gdy wydaje mi się, że już wszystko gotowe, zadajesz jeszcze jedno pytanie, oświetlasz jeszcze jedną drogę, dzięki której opowieść może błyszczeć. Miliony podziękowań dla Kate Meltzer, wspierającej redaktorki, bardzo empatycznej i miłej osoby, która potrafiła żonglować wieloma zadaniami.

Cały zespół w wydawnictwie Penguin Random House oraz G. P. Putnam's Sons Books for Young Readers zasługuje na owacje na stojąco za całą ciężką pracę, jaką wykonał, by ta książka trafiła na rynek. Jesteście szaloną,

imponującą bandą profesjonalistów. Jestem bardzo dumna z faktu, że wzięliście mnie pod swoje skrzydła.

Ta książka nigdy nie powstałaby, gdyby nie niesamowite wsparcie stowarzyszenia Associates of the Boston Public Library's Writer-in-Residence Fellowship. Jesteście rycerzami z People's Palace. Dziękuję za zaufanie, za czas i wspinałą przestrzeń, w której mogłam pisać, ale przede wszystkim za bezcenny dar, czyli fakt, że mogłam nazwać się pisarką. Dziękuję bibliotekarzom z bibliotek Tenn i Central za nieznużone starania, by te miejsca tętniły życiem i były nakierowane na społeczność. A także za to, że jesteście super.

Wiele osób czytało tę książkę w trakcie jej powstawania i dawało mi cenne uwagi: *Asante sana*, Carine Umotoniwase, Rita Njue, Maggie Muthama i C. – Wasze spojrzenie było niezwykle potrzebne. JB, Twój sheng był wspaniały. Dziękuję znajomym z BSpec, którzy czytali, radowali się, krytykowali, rzucali propozycje, tweetowali, znów czytali: Lyndsay, Lura, Andrea, Claire, Gillian, Beth, Jess, Kyle, Rae, Eric, Jay, Seth, Emily, Caitlin, Lauren, Nyssa, Victoria, Angela, Kat, Robert – głęboki wdech, jest Was wielu – jesteście najlepszą paczką kumpi, o jakiej można marzyć. Dziękuję Ci, Karen B., za podzielenie się doświadczeniem (i pilnowanie mojej gramatyki!). Dziękuję klubowi książkowemu z Louisville za poczucie humoru i traktowanie mnie jak prawdziwej autorki jeszcze przed wydaniem tej książki.

Rodzina nauczyła mnie miłości do książek i czytała

niezliczone wersje tej powieści. Dziękuję (wszystkim) za to, że sprawialiście wrażenie, że macie ochotę przeczytać ją jeszcze raz. Mamo, tato, Rebecca, Dylanie, Margot (i cała reszta – wiecie, kim jesteście!), Wasza miłość i wsparcie są dla mnie wszystkim.

I wreszcie, dziękuję tobie, M., mężczyzno, który zawsze będziesz miał moje serce, za gorączkową, wspaniałą, logiczną i wkurzającą lekturę (zazwyczaj masz rację w kwestii moich błędów, a niech Cię!); mężczyzno, który wytrzymałeś cały ten nonsens i pomogłeś mi wypuścić tę książkę w świat. Nic nie czyni mnie szczęśliwszą niż fakt, że jesteś moim ukochanym i najlepszym przyjacielem.

Modlitwa do Świętej Katarzyny

*Gwiazdo świata, Katarzyno,
łamaczko Koła,
niosąca pomoc dzieciom wybranym,
ratująca je
w godzinie śmierci.*

*Katarzyno, szanowana córo,
filarze cnót,
o twarzy niczym jabłko i labędziej piersi,
nieknięta dziewico.*

*Roztocz swą ochronę nad moim szaleństwem,
Synu Maryi.*

*Błagaj o łaskę dla złodzieja, Katarzyno.
Zatroszcz się o mój rozwój, by pokonanie
wrogów mej duszy
przyniosło mi zwycięstwo w ostatnim boju,
a po śmierci
poprowadziły mnie zastępy anielskie.*

Amen

JEDEN

Jeśli zamierzasz zostać złodziejem, zacznij od przy-swojenia zasady, że nie istniejesz.

Mówię poważnie, musisz to dobrze opanować. Stać się mistrzem. Robal mnie tego nauczył. Jeśli będziesz istnieć, możesz wzbudzić zainteresowanie osoby, która zacznie się zastanawiać, kim jesteś. Będzie chciała wiedzieć, kto pozwala ci grasować w okolicy. Gdzie będziesz dziś spać. Czy będziesz dziś spać.

Jeśli będziesz istnieć, nie dasz rady przemykać wśród ciał, ciepłych ramion i barków pachnących pracą i mydłem. Nie poświęcisz czasu na wybór swojego celu: grubej kobiety w różu i złocie. Nie wpadniesz na nią i nie dasz nogi z jej portfelem, tkwiącym już w twoich spodniach. Jeśli będziesz istnieć, nie prześlizgniesz się między prętami w oknie. Twoje kroki mogą zaskrzypieć

na drewnianej podłodze. Twój pot może wydzielać zbyt intensywny zapach.

Tobie może się to przytrafić.

Mnie nie.

Ponieważ ja jestem najlepszym złodziejem w mieście.

Ja nie istnieję.

Siedzę na drzewie mango wystarczająco długo, by zgnieść siedem komarów. Czuję, jak ciepła krew spływa mi między palcami. Bóg jeden wie, ile już mam ugryzień. Mrówki dobierają się do dolnej części moich pleców. A jednak Siostra Gladys, błogosławcie ją, nie zasypia.

Przez szybę widzę ją – skąpaną w poświacie telewizora w pokoju wspólnym. Jej twarz jarzy się niebieskim blaskiem, a brzuch trzęsie ze śmiechu. Stopy oparła na taborecie, palce wyginają się pod różnymi kątami niczym rogi antylopy. Zastanawiam się, co ogląda, odpoczywając, gdy wszyscy uczniowie już śpią. Powtórki *Bajera* z *Bel-Air*? *Churchill Raw*? Co śmiesz zakonnice?

Sprawdzam godzinę na telefonie i przez chwilę rozważam możliwość, by wrócić tu jutro i wynieść ten antyczny telewizor raz na zawsze. Czy ona nie powinna się w tym czasie modlić?

Ósmy komar. Burczy mi w brzuchu. Naciskam na niego i dźwięk ustaje.

W końcu głowa siostry opada. Czekam, aż rytm jej oddechu się ustabilizuje, a potem powoli opuszczam się po drugiej stronie muru otaczającego szkołę.

Pies stróżujący materializuje się z ciemności i rusza w moją stronę.

Podnoszę ręce. Brudas skacze na mnie i ślini mi twarz.

– Cii... – uciszam jego skomlenie. Merdający ogon chłoscze mnie po nogach, gdy idę w stronę umywalni na tyłach sali sypialnej.

– Co tak długo? – pyta Kiki, otwierając skrzypiące okno.

Wzdrygam się na ten dźwięk i rozglądam, chociaż wiem, że na uprzątniętym podwórzu jest tylko Brudas. Opiera się o moje udo i dyszy zadowolony, gdy głaszczę miękkie futro między jego uszami. Brudas i ja jesteśmy starymi kumplami.

– Siostra Gładys buja się w Willu Smicie – mówię.

Moja siostra prycha i podaje mi bielutką buleczkę przez kraty w oknie, mające powstrzymywać złodziei, takich jak ja. Smakuje słodko, jak prosto ze sklepu. Daję kęs Brudasowi, który połyka całość za jednym zamachem, oblizuje się i skomle.

– Wszystko w porządku? – pytam między gryzami. – Pingwiny nie biją cię zbyt mocno?

Kręci głową.

– Jak u ciebie?

– Na moim dachu nie ma pingwinów. Nie latają.

– Wiesz, co miałam na myśli, Tina.

– W porządku – mówię. – Hej, przyniosłam ci coś. – Szperam w torbie i wyciągam paczkę ołówków

numer 2, zawiniętych w celofan. Przeciskam ją przez kraty.

– Tina...

– Poczekaj, mam coś jeszcze. – Zanim zdąży zaprotestować, wyławiam zeszyt. Na okładce widnieje rysunek z uśmiechniętymi dziećmi oraz słowa „Czas do szkoły!”, zapisane ciemnymi, drukowanymi literami. Popycham rzeczy w jej stronę. Skupia wzrok na tatuażach pokrywających moje ramiona.

– Dostanę przybory szkolne od zakonnic – zapewnienia. – Nie musisz ich dla mnie kraść.

– Dostaniesz ochłapy, których nikt nie chciał. Nie musisz przyjmować od nich jałmużny. Zaslugujesz na coś lepszego.

– Ale ty dajesz mi jałmużnę.

– To co innego. Jesteśmy rodziną.

Nie odpowiada.

Zostawiam prezenty na parapecie i robię krok w tył.

– Nie ma za co.

– Tina – wrywa się jej – nie możesz mieszkać na ulicy do końca życia.

Zapinam torbę.

– Nie mieszkam na ulicy. Mieszkam na dachu.

Kiki robi tę minę, kiedy drga jej brew – wygląda wtedy jak mama. Za każdym razem, gdy tu przychodzę, dostrzegam w niej coraz większe podobieństwo do matki, co czasem boli, ale to i tak lepiej, że przypomina mamę niż jego. Jego ślady widać w jej jaśniejszej skórze

i oczach, w delikatnych lokach. Wciąż można dostrzec, że jesteśmy siostrami; wołałabym jednak, żeby nie było widać od razu, że siostrami przyrodnimi. Oczywiście nigdy bym jej tak nie nazwała. Nienawidzę tego słowa. Przyrodnia siostra. Jakby była nią tylko w połowie.

Ale nie da się ukryć, że tata Kiki, w przeciwieństwie do mojego, jest biały. Wymknęło się jej kiedyś, że inne dziewczyny wołają na nią „Połówka”, pół czarna, pół biała. Zażądałam, żeby zdradziła mi ich imiona, ale odparła tylko: „One nie mają nic złego na myśli. Przewisko mi nie przeszkadza, a poza tym nie możesz zacząć bić dzieci”. Ale czasami widzę, jak patrzy na moją ciemną skórę i porównuje ze swoją, i dobrze wiem, że zastanawia się, jakby to było być taką jak inni, zamiast „Połówką”, sierotą.

Kiki ściska rozdzielające nas pręty, jakby mogła je wyrwać. Nie skończyła mówić.

– Możesz zostać tu ze mną. Wiesz o tym. Siostra Eunice pozwoliłaby ci. Nie jesteś za stara. Wpuściła inną szesnastolatkę. Mają tu mnóstwo książek, pianino i...

– Cii! – Przykładam palec do ust. – Nie tak głośno.

Ogląda się przez ramię, lustrując ciemną umywalnię.

Z oddali słyszę kaszel innej dziewczyny.

– Mówię poważnie, Tina – szepce, odwracając się. – Mogłabyś dostać stypendium naukowe, jak ja.

– Daj spokój, Kiki, przecież wiesz, że przysługuje tylko jedno na rodzinę.

– Ale...

– Dość – ucinam ostro. Zbyt ostro. Kiki kuli się lekko. – Hej – sięgam ręką przez kraty, by przyglądzić pasma jej włosów, które wymsknęły się z warkoczy. – Dzięki za kolację. Muszę lecieć. Mam spotkanie z Boyboyem.

– Nie idź jeszcze... – Przyciska twarz do metalowych prętów.

– Bądź grzeczna, dobrze? Odrabiaj pracę domową. Nie daj się złapać pingwinom poza łóżkiem.

– Przyjdiesz w następny piątek?

– Jak zawsze.

Delikatnie odpycham od siebie Brudasa i sprawdzam, czy torba ciasno przylega do pleców. Wchodzenie po murze, by się stąd wydostać, jest zawsze trudniejsze od wspinania się na drzewo, by tu wejść, a nie chcę zahaczyć o drut kolczasty ani odłamki szkła zatopione w betonie.

Kiki wciąż mnie obserwuje. Zmuszam się do uśmiechu. Przez moment jej twarz jest nieruchoma, później łagodnieje. W końcu ona też się uśmiecha.

Przez pół sekundy – istnieję.

A potem znikam w mroku.

Dwa

**ZASADA NUMER 2: NIE UFAM NIKOMU.
A JEŚLI JUŻ MUSISZ, UFAM W TAKIM STOPNIU, W JAKIM UFALĄBYŚ
BEZPAŃSKIEMU PSU, MAJĄC PRZY SOBIE ŚWIEŻE MIĘSO.**

Weźmy dla przykładu Goondan. To, że jestem jedną z nich, nie oznacza, że im ufam. Robal jest w porządku. Gdyby nie on, prawdopodobnie byłabym martwa. Ale tacy jak jego brat, Keczup? Nie ma szans. Nauczyłam się tego już dawno.

Goondanie są w całym Sangui i przyciągają dzieci ulicy niczym bezpański pies pchły. Moje życie być może byłoby prostsze, gdybym mieszkała z nimi w magazynie, ale wtedy ktoś pewnie wpakowałby się do mnie w środku nocy i zanim bym się obejrzała, podzieliłabym los Sheiki, żebrzącej na ulicy o drobne z dziećmi na rękę. Większość dziewczyn nie wytrzymuje długo u Goondan.

Ja nie jestem jak większość dziewczyn.



Pędzę przez ciemne alejki; drogę ze szkoły Kiki do magazynu Goondan znam tak dobrze, że mogłabym ją pokonać z zamkniętymi oczami. Nie zamykam ich jednak. Samotna dziewczyna na ulicy po zmroku jest łatwym łupem. Staram się nie wyróżniać. Twarz skrywam zwykle pod kapturem, noszę bezkształtne ubrania. Włosy ścinam na krótko. Wątła sylwetka i płaski biust pomagają.

Omijam błoto i beton, i śmieci gnijące w szarych sadzawkach. Różowa poświata nieba nad miastem w wystarczającym stopniu oświetla drogę przede mną. Gdy docieram do alei Biashara, widzę, że domokrażcy poszli już do domów. Zostali tylko nocni szperacze: pijacy i niestrudzone prostytutki, skąpane w neonowych światłach barów. Dziewczyny nocy patrzą na mnie podejrzliwie z drugiej strony ulicy. Ignoruję je i przyspieszam kroku, aż docieram do mostu oddzielającego Stare Miasto Sangui, gdzie znajduje się szkoła Kiki, od dzielnicy przemysłowej, terytorium Goondan. Światła magazynów i fabryk odbijają się w tafli rzeki niczym magiczny blask odgradzający nowe od starego.

Pewnego razu, przechodząc przez ten most, ujrzałam ciało unoszące się na wodzie. Był środek nocy, nikt mnie nie zauważył. Zakładam, że ciało dryfowało, póki nie zainteresował się nim krokodyl; a może spłynęło aż do namorzynów, a potem do oceanu, jeśli cokolwiek

z niego zostało. Ale tej nocy nie widać ciał, jedynie kilka drewnianych dau² zrzuciło kotwicę, a rybacy śpią pod pokładem.

Biegiem pokonuję most. Okolica jest cicha; po tej stronie rzeki nie ma barów. Słyszę jedynie dźwięk dalekich alarmów i warczenie psów, walczących o resztki. Nawet nie podnoszą łbów, gdy przemykam obok. Nie muszę zerkać na telefon, by wiedzieć, że jestem spóźniona. Przeklinam Siostrę Gladys i jej programy telewizyjne. Nie powinnam była spotykać się z Kiki. Nie było dość czasu. Ale gdybym się nie pojawiła, jak w każdą piątkową noc, martwiłaby się.

Poza tym, nie chciałabym robić tego, co zamierzam zrobić, nie zobaczywszy się z nią przedtem.

Kiedy wreszcie docieram do przerdzewiałych drzwi magazynu, ciężko dyszę i znów jestem głodna. Stukam trzy razy. Przerwa. Dwa razy. Przerwa. Raz.

Uchyła się judasz, odsłaniając groźne oko.

– To Drobinka. – Strażnik otwiera przede mną drzwi.

Boyboy czeka w środku.

– Spóźniłaś się – mówi z nadąsaną miną, krzyżując wychudzone ramiona. Lustruję wzrokiem jego prześwitującą różową koszulkę i pomalowane tuszem rzęsy.

– A ty miałaś się ubrać na czarno – mówię. I tak nie miał już łatwego życia z Goondanami. – Idziemy.

Podąża za mną korytarzem do biura Robala. Nie widzę Goondan, ale słyszę ich przez ściany. Leżą na podłó-

² Dau – tradycyjny arabski statek żaglowy (przyp. red.).

dze w magazynie, palą zioło, oglądają piłkę nożną i czekają na przydział zadań. Może niektórzy z nich ćwiczą, boksując stare opony i podnosząc betonowe bloki, ale nie liczyłabym na to.

Inny strażnik schodzi nam z drogi, by przepuścić nas do biura Robala. Gdy otwieram drzwi, Robal i Keczup pochylają się nad biurkiem, przeglądając plany i mapy. Jest gorąco, więc podwinęli rękawy. Tatuaze na ich ramionach drgają, gdy wskazują na coś w papierach, klóćąc się. Raz jeszcze omawiają plan. I dobrze. Robal jest mózgiem tej rodziny. Z kolei jego brat, Keczup, jest ociężały jak wór kamieni. Dokonywaliśmy już włamań w tym składzie, ale stawka nigdy nie była tak wysoka. Nie podoba mi się, że Keczup bierze udział w tym skoku. Opowiada głupie żarty wyśmiewające homoseksualizm Boyboya, co tylko go dekoncentruje. A poza tym nie lubię gościa. Nie podoba mi się, że muszę na niego liczyć. Ale nie mogłabym uskarżać się na to Robalowi. Gdzie idzie Robal, tam idzie jego młodszy brat.

Nikt by nie zgadł, że tych dwóch Goondan jest ze sobą spokrewnionych. Robal jest starszy, ma może dwadzieścia pięć lat. Jest umięśniony i brodaty, o poważnej twarzy i oczach, które mogą przeszyć na wskroś twoją brudną, zakłamaną duszę. Ludzie mówią, że wygląda jak Jay Z. Keczup z kolei jest cherlawy i choć ma osiemnaście lat, wygląda na znacznie młodszego. Ma pociągłą twarz i śmieje się niczym hiena. Ludzie mówią, że wygląda jak wygłodniała łasica.

U ich stóp spoczywają dwa worki pełne sprzętu: laptopów, bluz z kapturem, drutów, taśm, chipsów i napojów energetycznych. Same najważniejsze rzeczy.

Podchodzę bliżej, by spojrzeć im przez ramię.

– Podjedziemy tutaj. – Robal wskazuje miejsce na planie i przeszywa mnie swoim typowym, niepokojącym spojrzeniem. Potakuję, a on znów kieruje uwagę na papiery. – A co potem, Keczup?

– Stary, omawialiśmy to setki razy. Wyszadzamy Drobinkę, badamy okolicę i próbujemy zaparkować tutaj. – Wskazuje punkt na mapie.

– A co będziemy robić, czekając?

Keczup chichocze i wykonuje obsceniczny gest. Spogląda na mnie, by sprawdzić, czy się rumienię. Nie rumienię się.

Robal uderza go w tył głowy.

– *Weh*, dorośnij – mówi, nie odrywając wzroku od planów.

Keczup, nadąsany, pociera potylicę, ale nie protestuje. Nawet on wie, że z Robalem lepiej nie zadzierać.

– Dobra, Boyboy zostanie ze mną w furgonetce i będzie robił swoje na komputerze – kontynuuje Robal.

Boyboy ciasno oplata ramionami klatkę piersiową, utrzymując dystans. Nic nie mówi. Nie jest Goondem.

– Ty staniesz na czatach – Robal instruuje brata.

– A ty co będziesz robić, mądralo? – odgryza się Keczup.

– Odpowiadać za ciebie. Raportować do pana Omo-
ko. Zostaje Drobinka. Wiesz, dokąd masz iść?

Wszyscy trzej patrzą teraz na mnie.

Unoszę podbródek.

– Ta.

Robal wskazuje na plany skinieniem głowy. Wiem, że to pytanie, więc podchodzę bliżej. Sięgam między ramionami Keczupa a Robala i umieszczam palec na ulicy biegnącej wzdłuż posiadłości. Prowadzę go przez płot pod napięciem, przez gruby na pół metra mur, przez skanery laserowe, wzdłuż wyłożonego dywanami, cichego holu, a potem między drobno zapisanymi słowami: „strażnicy”, „kamera”, „psy”. Zatrzymuję się w samym sercu budynku i mówię: – Tutaj.

Trzy

ZASADA NUMER 3:

ZŁODZIEJE NIE MAJĄ PRZYJACIÓŁ.

Każdy złodziej ma matkę, może też młodszą siostrę, jeśli ma szczęście, ale na to nic się nie poradzi. Może się znać z takimi ludźmi, jak mama Boyboya, którą pozdrawiam każdego dnia w drodze do domu. Ale to tylko dbanie o dobrosąsiedzkie stosunki. Ona sprzedaje herbatę na rogu ulicy, daje mi znać, jeśli gliny są w pobliżu, a także upewnia się, że Goondowie nie dręczą za bardzo jej syna. Możesz mieć znajomych. Ale przyjaciół, o których się troszczysz i którzy troszczą się o ciebie...

Tylko wpędzisz ich w kłopoty.

Zanim zapytasz – Boyboy nie jest moim przyjacielem.

To mój partner w interesach. Ogromna różnica. On też pochodzi z Kongo, więc nie muszę wyjaśniać

mu pewnych rzeczy, o których wolę nie rozmawiać, jak choćby to, gdzie jest moja rodzina, dlaczego niemal nie spiam albo czemu się wzdrygam na widok mężczyzn w mundurach.

Czasami przychodzi na mój dach, gdzie wspólnie palimy i obserwujemy, jak słońce znika w smogu otulającym miasto. I to tyle. Boyboy ma swoich chłopaków do imprezowania, a ja mam Kiki. Pewnie sądzisz, że to smutne, ale ja wcale nie jestem smutna.

Poza tym nie mam zbyt dużo czasu na nawiązywanie przyjaźni. Mam swoje zajęcia.

Korzystamy z furgonetki kwiaciarni, by dotrzeć na miejsce. Keczup prowadzi, a Robal wciąż na niego krzyczy, by zwolnił i patrzył na drogę. Jest druga w nocy, więc szansa, że gliny zatrzymają nas za przejeżdżanie na czerwonym, jest równie duża, jak prawdopodobieństwo, że będą chcieli wyłudzić od nas kasę, ale lepiej nie ryzykować, że ktoś zapamięta furgonetkę pełną ubranych na czarno dzieciaków, które z pewnością nie wyglądają na kwiaciarzy. Im bliżej celu jesteśmy, tym większą gotowość do pracy czuję. Nieustanne głędzenie Keczupa sprawia, że robię się nerwowa. Rechocze tym swoim śmiechem hieny i opowiada obleśne rzeczy o mijanych przez nas dziewczynach nocy, stojących na rogach ulic.

Ja i Boyboy siedzimy z tyłu w ciszy. Przygotowujemy się. Wkładam do ucha słuchawkę i sprawdzam, czy łączę się z moim telefonem przez Bluetooth.

– Sprawdźmy obraz z kamery – mówi Boyboy.

Kieruję w jego stronę mikrokamerę wbudowaną w moją słuchawkę. Na ekranie laptopa pojawia się jego twarz.

– Dobrze.

Spogląda na siebie, przyglądając włosy, po czym pyta:

– Sprawdzimy mikrofon? Powiedz coś.

Szeptę:

– Boyboy nie ma wycucia stylu.

Mała słuchawka przekazuje moje słowa do telefonu, a potem do komputera Boyboya, skąd słyszę własny głos powtarzany jak echo.

Pokazuje mi środkowy palec, nie przerywając ustawiania swojego sprzętu.

– Dobrze mnie słyszysz?

– Ta – potwierdzam. – Wszystko gra.

– Musisz trzymać telefon blisko słuchawki. Kiedy podczas ostatniego skoku miałś go w kieszeni, połączenie było kiepskie. Gdzie go schowasz?

Wsuwam telefon w sportowy stanik i macham rękami.

– Tadam!

– Uroczo.

– Bezpiecznie.

– Schowaj to do kieszeni. – Podaje mi niewielką przejściówkę USB. – To klucz do skrzyni ze skarbami. Nie chcę, by zginął w twoim biuście.

– Ha. – Moja klatka piersiowa jest niewiele większa niż u mojej jedenastoletniej siostry. Ale robię, jak każe.

Boyboy jest szalenie dobry w obsłudze sprzętu. Zawsze tak było, odkąd go znam. Powiedział mi, że gdy był mały, więksi chłopcy bili go i nazywali wróżką, więc spędzał wiele czasu w pokoju, rozbierając telefony i komputery, a potem składając je z powrotem. Jego ostatnią sztuczką jest hakowanie bankomatów, które zaczynając wypływać szeleszczące banknoty.

Nie chce dołączyć do Goondan, ale pracuje ze mną. Raczy mnie swoimi genialnymi sztuczkami informatycznymi, gdy ich potrzebuję, a ja w zamian kradnę dla niego wyszukane gadżety – komputery, telefony, czasem markową torebkę – to, czego akurat potrzebuje. Twierdzi, że jest najlepszym hakerem we wschodniej Afryce, i z tego, co widziałam, nie kłamię.

Lepiej, żeby tak było. Za chwilę pomoże nam się włamać do najlepiej ufortyfikowanego domu w Ringu.



W Ringu mieszkają wszyscy, którzy mogą sobie na to pozwolić. Porośnięty bujną roślinnością, pagórkowaty, zielony Ring góruje nad Sangui, zadzierając nosa i patrząc z wyższością na resztę z nas. Domy z równiutko przystrzyżonymi trawnikami skrywają się za płotami, szpalerami drzew, drutami kolczastymi, psami i strażnikami – byłymi wojskowymi z AK-47. Flota mercedesów wpływa co rano do miasta, wioząc Ważnych Gości do pracy. Mówimy na nich WaBenzi: plemię z Mercedesa-Benza. Występują we wszystkich kształtach, rozmiarach

i kolorach, pochodzą z całego świata, ale mówią wspólnym językiem: forszą. Kiedy co wieczór wracają do swoich posiadłości w Ringu, narzekają na korki, piją szkodkę z importu i wcześniej zasypiają w miękkiej, bawełnianej pościeli. Ich żony doglądają małych armii służących i dostają lekkiej migreny, kiedy afrykańskie słońce przypieka za mocno. Ich dzieci grają w tenisa. Ich psy mają własnych behawiorystów.

O tej porze nocy w Ringu panuje cisza, pomijając dźwięki wydawane przez żaby i insekty. Padało, mgła jest gęsta. Znajome ulice wysadzone drzewami, są puste. Furgonetka kwiaciarni nie rzuca się jednak w oczy. Może wracamy z bankietu. Albo wystawnego wesela.

Spoglądam przez okno. Gdy mijamy prześwit między domami i drzewami, dostrzegam ciemny Ocean Indyjski. Sangui: miasto-państwo na wzgórzu, port świata, świetne miejsce do prowadzenia interesów. W mieście załatwiasz brudną robotę, w Ringu odpoczywasz.

Wiem o tym aż za dobrze. Widziałam to wszystko z bliska. Może teraz mieszkam na ulicy, ale dawno temu moim domem była forteca w Ringu.



ZASADA NUMER 4: UWĄŻNIE WYBIERZ SWÓJ CEŁ.

Złodziej
Kauzi

Thegi

Voleur

Mwizi

Złodziej

Magiczne słowo. Pełne mocy.

Już samo wypowiedzenie go na ulicy może kogoś zabić. Widziałam to. Policja jest bezsilna, więc ludzie na własną rękę wymierzają sprawiedliwość. I uwierz mi, nikt nie żałuje złodzieja, kiedy kurz opada, a jego krew wsiąka w ziemię. Lepiej niech nikt nie wytknie cię palcem.

Więc słuchaj. Uważnie wybierz swój cel. Wybierz odpowiedni cel. W większości przypadków oznacza to łatwy cel. Jeśli jesteś kieszonkowcem, stawiaj na pijanych i osoby klójące się przez telefon. Jeżeli rabujesz dom, upewnij się, że to jeden z tych, gdzie klucz chowa się na ościeżnicy. Celujesz w konta bankowe? Spróbuj z bogatą starszą damą. Pewnie jej hasło brzmi tak samo, jak imię jej psa.

Jest z czego wybierać. Nie ma sensu sobie utrudniać.

Ale od każdej reguły jest wyjątek.

Dom Rolanda Greyhilla nie jest oczywistym celem. Jego brama jest zamknięta i dobrze strzeżona. Mężczyzna zarabia na życie, handlując z watażkami i armiami, obracając znaczną ilością gotówki. Wie, że ma wrogów. Od lat zachowuje czujność. Nie ufa nikomu. Pod żadnym pozorem nie jest łatwym celem.

Ale nie pomyśl się: trudny czy nie, dziś to cel odpowiedni.

Zbliżamy się. Przelykam zbierającą się w gardle gulę i opuszczam nieco szybę. Powietrze jest wilgotne i pachnie jaśminem.

Boyboy siedzi cicho obok mnie. Wiem, że chciałby zapytać, jak się czuję. Wszyscy pozostali analizowali plan przez cały dzień, ale ja rozmyślałam o nim od lat. Nie jestem pewna, czy umiałabym wytłumaczyć, jak się teraz czuję. Jakbym połknęła gniazdo os? Czy to jakaś emocja?

Ale Boyboy zna mnie na tyle dobrze, że nie zadaje głupich pytań.

Kiedy od celu dzielą nas dwa domy, Keczup wyłącza światła i zatrzymuje się.

– Jesteśmy na miejscu, panie Omoko – mówi Robal do telefonu.

Rezydencja zajmuje dwukrotnie większą przestrzeń niż którykolwiek inny dom przy tej ulicy. Ponad wysoki mur wystają jedynie czerwone dachówki. Nie widzimy pół tuzina kolesi uzbrojonych w AK-47 ani dwóch owczarków niemieckich grasujących po terenie. Ale wiemy, że tam są.

Wszyscy spoglądają na dom w milczeniu. Nawet Keczup.

Robal pociera o siebie dłonie.

– Gotowa, Drobinko?

Dotykam słuchawki. Jest bezpieczna. Wyginam do tyłu ręce i naprężam plecy. Ledwo się powstrzymuję, by nie krzyknąć, że tu jestem. Że to robię. Że to *mój* dom.

– Jestem gotowa – mówię i wysiadam z furgonetki.

Cztery

ZASADA NUMER 5:

MUSISZ MIEĆ PLAN.

Cholernie dobry plan. Powinien być prosty. Rozpisz go szczegółowo. Naucz się na pamięć. Musisz znać go na wrywki, by nie wyleciał ci z głowy, kiedy staniesz przed domem, który masz zamiar obrabować, z uważnie przyglądającymi ci się Goondanami.

Mój plan składał się z trzech części: brud, pieniądze, krew.

To dobry plan.

Dzisiaj zaczniemy od brudu.

Długo i dogłębnie rozmyślałam o moim planie, patrzyłam na niego pod każdym możliwym kątem. Byłam bardzo ostrożna. Próbowałam pomyśleć o wszystkim.

Ale musisz pamiętać o jednej ważnej kwestii: kiedy zaczniesz wdrażać plan w życie, nagle coś może nie wypalić. Sprzęt się popsuje. Pokojówki się obudzą. Psy

zaczną szczeakać. Wyróżnikiem dobrego złodzieja jest zachowanie zimnej krwi i *jua kali*, gdy trzeba.

Właśnie tak. Trzeba być gotowym na improwizację.

Boyboy zaczyna odprawiać swoją magię. Kiedy ja skradam się w kierunku posiadłości, z Keczupem depczącym mi po piętach, on włamuje się do systemu zabezpieczeń. Wylacza elektryczne ogrodzenie i zatrzymuje pracę kamer monitorujących teren. Następnie przelacza obraz z kamer na własny komputer, aby miec widok na caly ogród Greyhillów. Dezaktywuje alarmy w oknach na pierwszym pietrze. Oszacował, że może wylaczyc wszystko na trzy minuty, zanim ochrona naprawi system. Do tego momentu bede juz w srodku, a on zapetli obraz z kamer, dzieki czemu kazdy, kto spojrzy na monitory, ujrzy jedynie pusty dom. Awarie zasilania sa dosc powszechne w sezonie deszczowym. Ochrona najpewniej zrzuci ten zastój na matkę naturę. Musimy tylko się pospieszyć.

Keczup i ja wyciągamy z krzaków drewnianą drabinę; dziś po południu schował ją tam dla nas opłacony ogrodnik, pracujący przy tej samej ulicy. Wspinam się po murze, skryta w cieniu jakarandy mimozolistnej rosnącej wzdłuż ulicy. Bułka z masłem. Na szczycie nasłuchuję szmeru elektryczności przepływającej przez ostry jak brzytwa drut kolczasty. Jest cicho, ale na wszelki wypadek dotykam go najpierw małym palcem.

– Nie ufasz mi? – Boyboy droczy się ze mną przez słuchawkę.

Nie odpowiadam. Koncentruję się na tym, żeby przejść przez mur.

Gdy byłam dzieckiem, trenowałam gimnastykę przez kilka lat, póki mama nie stwierdziła, że nie będziemy dłużej przyjmować jałmużny. Nie wiem, czy to wystarczyło czy może to dzięki mojej drobnej budowie, ale takie rzeczy jak przechodzenie ponad drutem kolczastym na szczycie wysokiego na cztery i pół metra muru, to dla mnie łatwizna. Niektórzy dobrze sobie radzą z komputerami. Niektórzy dobrze śpiewają. Ja jestem dobrym złodziejem.

Zwieszam się po drugiej stronie muru na rękach, a potem puszczam i ląduję w krzakach z delikatnym tąpnięciem. Skulona za opadającymi liśćmi palmy, czekam, aż usłyszę dźwięk zapłonu silnika furgonetki i szum opon na drodze. Robal, Keczup i Boyboy zatrzymają się na tyle daleko, by nie przyciągać uwagi.

Boyboy szepce mi do ucha:

– Psy są po drugiej stronie, ale w twoim kierunku idzie kilku kolesi.

Słyszę kroki przecinające mokrą trawę. Wkrótce pojawia się dwóch strażników wykonujących obchód. Zanurzam się w ciemność. Uspokajam oddech. Po chwili jestem gotowa, by wsunąć się głębiej w listowie, gdyby się zbliżyli, ale oni idą dalej, nieświadomi mojej obecności. Gdy tylko znikają za rogiem, taksuję wzrokiem podwórze i rzucam się w kierunku domu. Na pokonanie kolejnego etapu mam dwie minuty.

Okno nad generatorem jest uchylone, tak jak się spodziewałam, ale ograniczają je żelazne pręty. Będzie

ciasno, na styk. Jak dobrze, że na kolację zjadłam tylko bułeczkę.

Wspinam się na generator i przykładam głowę do krat, mierząc rozstaw. Od ucha do ucha, moja głowa ledwo przechodzi. Ale tyle wystarczy. Jeśli precyzyjnie głowę, reszta też się zmieści.

Nie tracę czasu; prawdopodobnie zostało mi jakieś dziewięćdziesiąt sekund. Otwieram szeroko okno, przykładam do środka nogę, a potem biodra. Wciągamy powietrze i przeslizguję się między zimnymi metalowymi prętami. Przez chwilę mam objawy klaustrofobii, jak zawsze, a potem przeciskam głowę i już jestem w środku.

Miękko ląduję na podłodze. Poświęcam chwilę, by się rozejrzeć. Znajduję się na rogu w korytarzu. Przed sobą widzę pokój dzienny, a kątem oka wyłapuję turkusową poświatę z basenu znajdującego się na zewnątrz. Powrót po takim czasie przypomina sen. Uspokajam oddech i zaczynam się skradać. Nikogo nie powinno tu być. Państwo Greyhill są w Dubaju. Ich dzieci mieszkają w szkole z internatem w zimnym, neutralnym kraju. Służący śpią w swoich chatkach na tyłach podwórza.

Jestem tu sama. Nie licząc duchów.

W słuchawce rozbrzmiewa głos Boyboya:

– Pospiesz się, T., zostało ci czterdzieści pięć sekund. Strażnik prawie przyłapał cię z tyłkiem wystającym z okna.

Mam ochotę powiedzieć mu, żeby się zamknął, ale powstrzymuję się i ruszam dalej. Dochodzę do końca korytarza i zerkam za róg. Pokój dzienny jest pusty i cichy.

Panel kontrolny systemu bezpieczeństwa, który jest moim celem, znajduje się na ścianie naprzeciwko. Gdy do niego docieram, ekran pokazuje, że do kolejnego skanowania domu laserami pozostały trzydzieści dwie sekundy. Jeśli lasery mnie namierzą, natychmiast włączy się cichy alarm. Sygnał odbiorą strażnicy, którzy powiadomią drogą, ale wysoce skuteczną firmę ochroniarską, zatrudniającą byłych agentów wywiadu z RPA. Przybędą w ciągu kilku minut. Nie oddają pojmanych w ręce policji, która wypuściłaby ich za odpowiednią cenę. Zabierają ich w helikopterze nad ocean. Co robią potem? Powiedzmy, że do brzegu płynie się dość długo.

Trzydzieści sekund.

Spoglądam na ekran, licząc na to, że obraz z mojej kamery jest transmitowany poprawnie.

– I jak? Widzisz to?

– Ta. Przechyl trochę głowę. Dobrze. – Następuje chwila ciszy. Zakładam, że Boyboy robi coś produktywnego; ledwo się powstrzymuję od popędzania go. Musi dezaktywować lasery, ale nie może włamać się do systemu; to obieg zamknięty. Zamiast tego musi powiedzieć mi, jak go wyłączyć.

W ciągu dwudziestu pięciu sekund.

– To TX-400. Nowy model – mówi Boyboy po upływie, jak mi się zdaje, wieczności. Zaczyna wyrzucać z siebie polecenia: – Wciśnij „alarm” na ekranie. Teraz „kod”. Cztery, osiem, cztery. „Potwierdź”. „Program”...

Boyboy prowadzi mnie przez kolejne sekwencje, ciągi liczb i przycisków do wciśnięcia. Jego szept brzmi

jak modlitwy, przy których przysypiałam, gdy mama zaciągała mnie do kościoła. Na swój sposób jest to kojące. A jednak palce mi się trzęsą, jakby pragnęły przyspieszyć ten proces. Cztery sekundy. Wklepuję ostatnią sekwencję liczb. Licznik się zatrzymuje. Pozostała jedna sekunda.

Wypuszczam powietrze.

– Gotowe – mówi.

Ruszyłam. Tędy. Główne schody. W górę, a potem prosto korytarzem i w lewo. Nie muszę nawet starać się być cicho – pluszowy dywan tłumi dźwięk moich kroków. Skradam się korytarzami, nasłuchując. Przez sekundę mam wrażenie, że słyszę jakiś dźwięk, i zamieram. To stukot klawiatury Boyboya. Wyjmuję słuchawkę z ucha i znów nasłuchuję. Po kilku sekundach ciszy wkładam słuchawkę z powrotem i ruszam dalej.

Ściany holu są upstrzone fotografiami Greyhillów. Natychmiast rzuca się w oczy, że on jest biały, ona jest Kenijką, a dzieci to ich idealna mieszanka. Chłopiec w moim wieku i dziewczynka w wieku Kiki. Drugą rzeczą, którą widać od razu, jest bogactwo, którym wręcz ociekają. Pani Greyhill jest potomkinią potentatów nieruchomości, a do tego dochodzi majątek pana Greyhilla z sektora wydobywczego. Pozują na łodziach, w wyprasowanych, koralowych koszulach. Uśmiechają się z land cruiserów na luksusowych safari w Serengeti. Złote zegarki, perły, diamenty na nadgarstkach i w uszach. Idealny obraz tego, czym jest nadmorskie miasto – mieszanki kolorów i narodowości – oraz tego, czym chciałoby być – bogactwa.

Ale ja już to wszystko widziałam. Nie mam teraz dla nich czasu.

Poluję.

Skრęcam za róg i otacza mnie całkowita ciemność. Powietrze jest chłodne i suche, przetworzone. Zbliżam się. Na ścianach nie ma już zdjęć, a jedynie ciemne drewniane panele. Im dalej idę, tym więcej trzasków słyszę w słuchawce. Mam nadzieję, że furgonetka nie odjechała zbyt daleko. Jeszcze jeden zakręt, prowadzący mnie w głąb martwego serca rezydencji.

I jestem na miejscu.

Wpatruję się w ciężkie, hebanowe drzwi. Moja pierś wznosi się i opada. Znowu próbuję uspokoić oddech. Dłonie swędzą mnie od potu. Jestem tak blisko. Czekałam na ten moment niemal całe życie. Czuję się tak, jakby tysiące mrówek pełzały po mojej skórze.

Ręce mi się trzęsą, gdy przekręcą galkę, choć wiem, że drzwi będą zamknięte. Nieważne. Wyjmuję z włosów dwie wsuwki i wyginam je w odpowiedni kształt. Gdy pracuję, moje dłonie przestają drżeć. Przygryzam plastikową końcówkę jednej ze wsuwek, żeby nadawała się na wytrych, a drugą zginam w haczyk. Wsuwam zagiętą końcówkę w dziurkę tak daleko, aż poczuję opór. Kiedy znajduje się w odpowiednim miejscu, dokładam wytrych. Ponownie wyjmuję słuchawkę i wsadzam ją między zęby, żeby nic mnie nie rozproszyło podczas nasłuchiwania delikatnego dźwięku zapadek. Tak, jak się spodziewałam, na rozbrojenie zamka potrzebowałam mniej niż minuty.

Umieszczam słuchawkę z powrotem w uchu i lustruję korytarz. Przez sekundę wydaje mi się, że dostrzegam drżenie w ciemności. Mrużę oczy.

– Ruszaj się, Drobinko. – Dźwięk głosu Robala w słuchawce zaskakuje mnie. Musi patrzeć Boyboyowi przez ramię w ekran komputera.

Mrugam, ale ciemność pozostaje nieruchoma. Nikogo tam nie ma, tłumaczę sobie. Wejź tam. Tylko grasz na zwłokę.

Gdy jestem w środku, zamykam za sobą drzwi. W korytarzu było ciemno, tu ktoś rozlał atrament. Na zewnątrz równie dobrze mogłoby być południe. To oszustwo, ale muszę zapalić światło. Upewniam się raz jeszcze, czy drzwi są zamknięte, po czym naciskam włącznik światła. Zaczynam mrugać, gdy oślepia mnie nagła jasność.

Pokój jest mniejszy, niż zapamiętałam. Przed kominem stoją skórzana kanapa i dwa krzesła. Kanapa jest nowa, zielona zamiast beżowej. Zgaduję, że ze starej nie udało się usunąć śladów krwi. Ponad gzymsem kominka wiszą głowa bawołu i trzy maski plemienne. Mam wrażenie, że obserwują każdy mój ruch. Po drugiej stronie pokoju biurko o rozmiarach małego nosorożca zasłania wieloskrzydłową biblioteczkę. Między regałami na tle czerwonego jedwabiu wisi miecz o złotej rękojeści. Wygląda tak, jakby zwykł przypasać go szejk; gdyby pan G. siedział przy biurku, miałby go idealnie nad głową. Gdy się skradam, uświadamiam sobie, że takie ustawienie nie jest przypadkowe. Zadzierasz

ze mną na własne ryzyko – zdaje się mówić miecz do osoby, która siedzi na krześle naprzeciwko.

– W biurku. – Słyszę słowa Keczupa, ale nie trafiają do mnie.

– Wiem – odpowiadam.

– W szufladzie.

– Zamknij się – rozkazuje mu Robal.

Bracia Goondanie i Boyboy siedzą cicho, ale czuję ich energię. Wsuwam się za biurko i zatapiam w fotelu. Pachnie skórą i tytoniem. Jak pieniądze. Przez moment czuję potęgę, którą pan G. musi czuć każdego dnia. Gapię się na kanapę i przez chwilę prawie ją widzę, siedzącą tam i obserwującą mnie.

– Drobinko, przestań się wygłupiać – warczy Robal.

Nie odpowiadam.

– Co ona robi? – pyta Keczup.

Biorę głęboki wdech. Skup się, Drobinko. Brud, pieniądze, krew.

Wysuwam górną szufladę biurka i wydaję cienkiego laptopa. Sięgam głębiej i zaciskam dłoń na metalowym pudełku o rozmiarach talii kart, po czym wyciągam je.

– To jest to. – Boyboy wstrzymuje oddech. – To musi być jego twardy dysk.

– Odjazdowo! – krzyczy Keczup prosto w moje ucho, więc Robal ponownie każe mu się zamknąć.

– Co teraz? – pytam Boyboya.

– Twardy dysk zapewne jest bezprzewodowy. Połóż go obok komputera, a potem podłącz do laptopa prze-

ściówkę USB, którą ci dałem. – Następnie szybko dodaje: – Ale jeszcze niczego nie włączaj.

Dociskam słuchawkę, by mieć pewność, że usłyszę wszystkie polecenia. Robię, co kazał, i słyszę słaby dźwięk stukania w klawisze. O wiele prościej byłoby po prostu ukraść zewnętrzny dysk twardy pana G., wejść i wyjść. Taki plan pierwotnie zaproponowałam Bwana Omoko. Ale szef Goondan nie chciał zostawiać śladów. Chciał, żebym weszła i wyszła. Uważa, że lepiej, by pan G. nie wiedział, że został okradziony, aż nie przejdziemy do drugiej części planu – pieniędzy. A wtedy już będzie za późno.

– To działa? – pytam po dłuższej chwili. USB powinno przekazywać dane z komputera i twardego dysku do mojego telefonu, a stamtąd do Boyboya.

– Połączenie jest bardzo kiepskie – zrzędzi Boyboy. – Mówiłem ci, że te grube ściany będą problemem. Połóż telefon bliżej przejściówki.

Niechętnie wyciągam komórkę spod stanika i umieszczam na biurku obok komputera.

– Lepiej?

– Tak sądzę. Wsadziłem stopę w drzwi, ale muszę złamać niewiarygodną ilość *mzingo*-szyfrów, zanim ruszymy dalej.

Czekamy w pełnym napięcia milczeniu, każda sekunda trwa wieczność, aż wreszcie:

– W porządku... – mówi Boyboy ze znacznie mniejszą pewnością, niżbym sobie życzyła.

– Wszedłeś do środka? – szepczę.

– Jest tylko jeden sposób, by się przekonać. Włącz go.

Jeśli wszystko zadziało zgodnie z planem, powinniśmy mieć dostęp do komputera i twardego dysku. Jeżeli się nie udało, Boyboy będzie musiał powiedzieć mi, jak je zhakować. Zajmie to wieki, a każda pomyłka może aktywować funkcję automatycznego kasowania. W najgorszym scenariuszu Boyboya twardego dysk ulegnie sformatowaniu, a sygnał alarmowy zostanie wysłany do agentów, którzy po mnie przyjadą.

Serce bije mi jak szalone, gdy otwieram laptopa. Wciskam przycisk zasilania. Przez straszliwą sekundę nic się nie dzieje i wydaje mi się, że nie zadziało, że jestem zbyt daleko, by transmisja się powiodła, że cichy alarm już się włączył, że strażnicy już na mnie czyhają. Ale wtedy dostrzegam migotanie kursora i słyszę upragniony dźwięk startowania systemu.

Moje uszy wypełniają entuzjastyczne szepty. Twardy dysk mruga i uruchamia się.

Boyboy wydaje z siebie głębokie westchnienie ulgi.

– Jesteśmy w środku.

Na komputerze Greyhilla nic nie ma. Boyboy próbował go już hakować na odległość, ale był praktycznie pusty. To on był pewien, że pan Greyhill trzyma wszystkie dane dotyczące transakcji biznesowych oddzielnie, poza siecią, najprawdopodobniej na zewnętrznym twardego dysku, takim jak ten. Uśmiecham się do tego niewielkiego pudełka. Nie wydaje się możliwe, by skrywało tak wiele obciążających tajemnic.

Rozpieram się w fotelu. Teraz mogę tylko czekać. Słyszę, jak Boyboy stuka w klawisze. Widzę, jak ekran komputera przełącza się między oknami, sam z siebie.

– Ile to potrwa? – pyta Robal.

– Kilka minut – odpowiada Boyboy.

Pozwalam sobie na przyływ samozadowolenia. Udało mi się. Dzięki mnie jesteśmy w środku. Wkrótce wszystkie dane pana G. popłyną do Boyboya. Boyboy zakłada, że deszyfrowanie ich zajmie mu jakiś tydzień, ale to tyle, co nic. Czekałam na to już pięć lat – mogę poczekać kolejny tydzień.

Otwieram szuflady w biurku pana G. – nawyk myszkowania. Pierwsza jest prawie pusta, nie licząc długopisów, spinaczy biurowych i gumowej piłki, z rodzaju tych, które się ściska dla od stresowania. Otwieram kolejną szufladę i zamieram.

Pistolet spoczywa na mahoniu niczym zwinięty wąż. Jest smukły i lśniący, z wygrawerowanymi z boku lufy słowami: „PIETRO BERETTA nr II, wyprodukowano we Włoszech”. Czy to ten sam? Już prawie go podnoszę, ale w następnej chwili zamykam szufladę tak szybko, że słyszę, jak broń uderza o drewno. Robię głęboki wdech, żeby mój głos nie zdrzął.

– Długo jeszcze?

– Wytrzymaj – odpowiada Boyboy. – Sygnał wciąż ssie.

Ekran stale wypełnia się kodem, którego nie rozumiem; białe znaki wydrapane na czarnym ekranie. Nie

mam pojęcia, co robi Boyboy, ale wciąż pojawiają się nowe okna pełne plików.

Mam zamiar wstać, targana nagłą potrzebą poruszenia się, kiedy nagle jeden z plików przykuwa moją uwagę. Muszę mrugnąć, by się upewnić, że dobrze widzę. Nosi nazwę ANJU YVETTE. Serce zaczyna mi walić. Waham się. Wiem, że nie powinnam dotykać komputera, kiedy Boyboy robi swoje, ale moja ręka porusza się, zanim zdążę ją powstrzymać.

Klikam na nazwę i otwiera się zdjęcie.

– Hej! Co robisz? – Stukot klawiatury Boyboya przechodzi w ciszę. – O mój Boże, czy to...?

Nie jestem w stanie odpowiedzieć. Nie jestem w stanie się ruszyć. Natychmiast rozpoznaję jej twarz, mimo że zdjęcie musi mieć jakieś dwadzieścia lat. Obraz przed oczami rozmywa mi się.

Lubię zakładać, że w normalnych okolicznościach zauważyłabym zmianę w ciśnieniu powietrza. Poczulałabym przeciąg albo słabą woń brudu i błota. Usłyszałabym, jak za mną otwierają się drzwi, w miejscu, gdzie wcześniej ich nie było. Ale tym razem potrzeba metalicznego szczęknięcia, precyzyjnej zapadki, bym wreszcie oderwała wzrok od jarzącego się ekranu.

Nie odwracam się. Znam ten dźwięk.

Dostaję gęśniej skórki w miejscu, w którym wylot zimnej lufy pistoletu naciska na moją szyję.

Pieć

Przelykam ślinę, uważając, by nie robić żadnych gwałtownych ruchów.

– Ręce do góry.

Wszystko przyspiesza, gdy analizuję sytuację. To głos chłopca, nie brzmi znajomo. Nie Keczupa ani Robala. Nikt by mnie nie zdradził. Ochrona? Głos brzmi niepewnie, jakby jego właściciel do tej pory jedynie na filmach widział, jak ktoś każe komuś podnieść ręce do góry. I młodo. To nie ochrona. Gdyby to był któryś z nich, już byłabym w drodze do helikoptera. Spoglądam na szufladę z bronią Greyhilla, ale nie byłabym w stanie otworzyć jej i wycelować w niego na czas. Podnoszę więc ręce.

– Odwracam się – mówię, próbując zachować spokojny, pewny ton głosu.

Odsuwa pistolet od mojej głowy, a ja powoli obracam się na krześle. Oddycha ciężko. Jego jasnozielone oczy są szeroko otwarte. Celuje jednak z wojskową precy-

zją. Choć nigdy nie zastrzelił żywego, oddychającego człowieka, jest wyszkolony. Wie, jak trzymać broń, jak celować, jak rozluźnić ciało, by przyjąć odrzut.

Stoi przed biblioteczką, która otworzyła się na zawiasach. Te drzwi nigdy nie były zaznaczone na planie domu, który trafił do rady miasta. Droga ucieczki. Powinam była wiedzieć. Każdy wąż ma jakąś drogę ucieczki.

Z powrotem koncentruję się na chłopcu.

Oczywiście. Któż inny mógłby to być.

– Cześć, Michael – mówię. – Kopę lat.

ZASADA NUMER 6, RZECZ JASNA, BRZMI: NIE DAJ SIĘ ZŁAPAĆ.

Kiedy miałam jakieś dziewięć lat, moja matka przyłapała mnie na strzelnicy Greyhillów, gdzie od ochroniarza uczyłam się, jak strzelić idealnie w środek piersi papierowego człowieka. Używałam takiego pistoletu, jak ten spoczywający w szufladzie pana Greyhilla. Za każdym razem, gdy pociągałam za spust, istniało ryzyko, że wyląduję na tyłku. Ale kochałam to. Czułam, jakby wewnątrz mnie żył mały potwór, a każda eksplozja sprawiała, że wydawał z siebie ryk radości.

Mama poczekała, aż oddam pistolet ochroniarzowi, a potem chwyciła mnie za ramię. Jej dłoń drżała. Zaciągnęła mnie do chat służby, instruując strażnika przez zaciśnięte zęby, by nigdy więcej nie pozwolił mi dotknąć broni, w przeciwnym razie osobiście dopilnuje jego zwolnienia. Albo gorzej. Moja matka była drobną kobietą, ale jej temperament był powszechnie znany, a pamięć dłu-

gotrwała. Nie spojrzała na stojącego obok mnie chłopca, który, oczywiście, zainicjował lekcje strzelania. Może i była twarda, ale wciąż była tylko jego służącą.

Czekałam rok, aż chłopiec stanie się na tyle dobry, by pozwolono mu strzelać bez nadzoru ochroniarza, a potem zmusiłam go, żeby mnie uczył.

I był w tym dobry.

To właśnie ten chłopiec celował teraz prosto w moją pierś.

Moje powitanie wywiera pożądany efekt.

– Ti-tina? – jąka się.

Potakuję powoli, zmuszając kąciki ust do wygięcia się w słabym uśmiechu. Upływ czasu spowodował, że Michael osiągnął wzrost ojca i nabrał potężnej muskulatury, czego nie było widać na zdjęciach wiszących w holu. Staram się nie rozpraszać, szukając rysów mojej siostry w jego twarzy, w jego jasnych oczach czy kroju warg.

Jego brwi ściągają się ze zdziwienia. Broń drży, gdy nieświadomie odsuwa ją ode mnie, więc korzystam z okazji i natychmiast rzucam się do przodu. Jedną ręką sięgam po pistolet, a drugą zadaję mu cios w tchawicę. Kaszle, ale nie zwalnia uścisku na broni, decyduję się więc odepchnąć jego ramiona na boki, a stopą podcinam mu nogi w kostkach, by stracił równowagę. Próbuje mnie chwycić, ale odsuwam się poza jego zasięg i łąduję plecami na biurku, przy okazji chwytając swój telefon.

Potrzuje zaledwie sekundy, by otrząsnąć się po moim ciosie. Jest szybszy, niż zakładałam; słyszę, jak podchodzi do biurka. Rzucam się przez pokój, ale prze-

biegam może połowę drogi, gdy otaczają mnie jego ramiona i oboje lądujemy twarzami na dywanie. Telefon wypada mi z dłoni.

Próbuję się wyswobodzić, kopiąc i rozdając kuksańce, sięgam zębami w stronę jego ręki. Udaje mi się wbić stopę w jego goleń, z satysfakcją słyszę skowyt. Ale wtedy on odciąga moje ręce i dociska kolano do pleców. Próbuję z tym walczyć, ale ucisk wysyła falę bólu aż do barku.

– Auć! Robisz mi krzywdę!

Waha się, ale nie zwalnia nacisku.

– To naprawdę ty? Co tu robisz? – chrypi, a potem zaczyna kasłać.

– Puść mnie!

– Tina! Przestań się stawiać! – Wciąż kaszle, ale nie wypuszcza mnie.

– Co tu robisz? – krzyczę.

– Co? – Wydaje się autentycznie zaskoczony. No tak. To przecież jego dom.

Przestaję z nim walczyć, ale nie odpowiadam. Połowa mojej twarzy jest przyciśnięta do perskiego dywanu, dostrzegam jedynie eleganckie wzory, wijące się aż poza linię wzroku. Czuję słuchawkę wbijającą się w moją klatkę piersiową, udało mi się ją wcisnąć za stanik podczas ucieczki. Oddycham ciężko, ręka pali mnie żywym ogniem, ale myślę tylko o jednym – ile danych zdołał pobrać Boyboy? Czy ich transfer się powiódł? Czy wystarczyło czasu?

– Nie powinno cię tu być – mówię przez zaciśnięte zęby, bardziej do siebie niż do Michaela. Powinien leżeć

grzecznie w łóżku w swojej szwajcarskiej szkole z internatem. Sprawdziłam przecież, czy akurat nie wypadają jakieś wolne dni.

– O czym ty mówisz? – Zacieśnia uścisk na moich ramionach. – Co *ja* tu robię?

Ocieram krwawiący nos o dywan.

– Pozwól mi wstać.

Nie rusza się.

– Pozwól mi wstać. Wyjaśnię.

Czuję, że się waha, ale w końcu odsuwa się i puszcza moje rękę. Wstaję powoli i obracam się w jego stronę; znów celuje mi w pierś. Wygladzam koszulkę, wykorzystując kilka sekund na zastanowienie się, czy raz jeszcze spróbować go powalić. Jestem na tyle blisko, by móc chwycić wylot lufy, zaburzyć jego równowagę, a potem ponownie uderzyć go w szyję, gdzie już go zraniłam. Być może. Ale jest szybki, a teraz spodziewa się ataku. Zamiast tego więc unoszę brew, patrząc na broń, i koncentruję całą energię na sprawianiu wrażenia, że wszystko mam pod kontrolą, choć wcale tak nie jest.

– Możesz to odłożyć?

Nie opuszcza pistoletu.

– Nie zabiję cię – odpowiada po chwili. – Ale postrzelę cię w nogę.

Jego twarz mówi mi, że nie kłamie. Wpakuje we mnie kulkę. A więc nie tylko ja zmieniłam się przez te pięć lat, odkąd ostatni raz się widzieliśmy. Sądziłam, że poszedł do szwajcarskiej szkoły z internatem dla delikatnych chłopców, ale może rodzice wysłali go do akademii

wojskowej. To tłumaczyłoby muskulaturę. Przygotowałyby go też na wszelkie nieczyste zagrywki, jakie mogłabym zastosować. Mój repertuar ciosów składał się głównie z wytrącania przeciwnika z równowagi i celowania w jeden z czułych punktów: nos, szyję, jądra, kolana. To nie są ładne metody, ale skuteczne, a jak mawiał Robal, kiedy nas uczył, „walka fair jest przereklamowana”.

Kiedy tak stoimy, uświadamiam sobie, że Michael taksuje mnie wzrokiem z góry na dół w taki sam sposób, w jaki ja przyglądam się jemu. Patrzy na moją twarz, na tatuaże. Marszczę brwi i na widok jego rumieńca czuję ponowny przyływ pewności siebie.

– Usiądę – mówię.

Nie czekając na odpowiedź, opadam na jeden ze skórzanych foteli. Obserwuję go, ale nie sędzę, by zauważył, jak kopnięciem wsuwam telefon pod fotel, na którym siedzę. Zastanawiam się, czy Goondanie słyszą mnie przez słuchawkę. Czy Boyboy wciąż jest w stanie przesyłać dane? Ile czasu minie, nim będą musieli przeparkować furgonetkę? Objazdy ochrony po okolicy odbywają się co godzinę. Pewnie nie zostało nam wiele czasu. Będą musieli mnie tu zostawić, wykonać objazd i wrócić.

– Jak tu weszłaś? – Michael staje za biurkiem ojca, wciąż trzymając pistolet wycelowany w moją pierś. Spogląda to na komputer, to na mnie. Jego oczy się rozszerzają.

Wstrzymuję oddech. Mam nadzieję, że ekran nie zdradza, co robiłam.

– Oszalałaś? – pyta. – Przeszukujesz laptopa taty?

Wiesz, co robi z ludźmi, którzy grzebią w jego rzeczach?

W chwili, gdy zadaje to naiwne pytanie, dostrzegam w nim przyjaciela, którego kiedyś znałam. To wciąż ten sam mały chłopiec, przerażony i zachwycony swoim ojcem, przechodzący na palcach obok drzwi do jego gabinetu, obserwujący, jak wychodzi do pracy, ze wzrokiem psa tęskniącego za swoim panem. Ten wzrok sprawia, że znów mam ochotę go uderzyć, i nagle nie mogę już powstrzymać rozdierającej i przytłaczającej fali wspomnień.

Mamy siedem lat, śmiejemy się gromko, skacząc na bombę do jaskrawoniebieskiego basenu. Mamy dziewięć lat, podczas awarii prądu wystawiamy na ścianie w kuchni teatrzyk cieni. Mamy dziesięć lat, budujemy fort na drzewie mango w ogrodzie, odkrywając przy okazji gniazdo młodych bilbili; ich matka nas odgania, machając skrzydłami i dziobiąc po głowach.

Wspomnienie za wspomnieniem, jakby wcześniej spętane w klatce z tyłu mojego umysłu, w której nagle otwarto drzwi. Byłam wybraną, najlepszą przyjaciółką Michaela. Znałam wszystkie jego sekrety i obawy. Nie dotyczyły mnie żadne ograniczenia, gdy przebywałam w jego towarzystwie, gdy zaś go nie było – jak najszybciej zawijałam się do kwater mojej matki.

A potem wspomnienia zatrzymują się ze zgrzytem.

Mam jedenaście lat, Michaela nigdzie nie widać. Jesteśmy tylko ja i moja matka, jej otwarte oczy, wpatrzone w jakiś punkt za moimi plecami, krew spływająca delikatną strużką od kącika ust do podbródka. Jej warkocze,

przysłaniają dziurę w piersi. Do chwili, gdy ją zobaczyłam, jej życie zdążyło już się rozpląnąć wśród drogich mebli dokładnie w tym pokoju.

Cała złość i ból wracają falami, gorące i czerwone. Przez moment mnie oślepiają.

Musi wiedzieć, dlaczego tu jestem, dlaczego nie dbam o to, jak zły byłby jego tata czy kto ucierpi w tym procesie. Musi. Zaciskam drżące dłonie w pięści i wpatruję się w nie.

Michael czeka.

– Więc? Co robiłaś na jego laptopie?

– Nic.

Wyciąga z komputera przejściówkę USB i potrząsa nią przed moją twarzą.

– Co to jest? Kopiowałaś pliki?

Kiedy milczę, obchodzi biurko i staje tuż za mną, unieruchamia mnie i maca po całym ciele, przeszukując, jednocześnie przyciskając pistolet do mojej skroni. Jest szorstki, czuję się krucha pod dotykiem jego dłoni, ale nie chcę, by widział, że się boję, by poczuł satysfakcję. Zaciskam więc zęby i wpatruję się w przestrzeń, póki nie znajdzie mojego noża, a potem słuchawki. Obydwa przedmioty chowa do kieszeni.

– Podobało ci się? Obmacywanie mnie?

Przez kilka długich sekund nikt z nas się nie rusza, po prostu стоимy – nastroszeni, gotowi do ataku, czekając, aż któreś zacznie.

– To co teraz? – pytam wreszcie. – Doniesiesz na mnie?

Pytanie aż nim wstrząsa.

– *Shonde* – przeklina.

– Co?

Odrywa ode mnie wzrok, by spojrzeć na drzwi do gabinetu.

– Ochrona zaraz tu będzie. Włączyłem alarm.

Nic nie mogę poradzić na to, że miękną mi kolana, a gardło wysycha. Muszę przelknąć ślinę, nim coś powiem.

– Zabiją mnie, wiesz o tym.

– Wiem. – Pędzi do drzwi gabinetu. Zaglądając przez dziurkę od klucza, wciąż celuje do mnie z broni. Wykorzystuję moment jego nieuwagi, by przykucnąć i zabrać spod fotela mój telefon. Wsuwam go do rękawa.

– Chodźmy – mówi.

Gdy obraca się do mnie, jego wzrok jest nieprzenikniony. Chwyta mnie za ramię i popycha w stronę wciąż otwartego przejścia za biblioteczką. Opieram się, ale potem coś słyszę. Tupanie. Coraz głośniejsze. Jeszcze nie przy drzwiach, ale kroki szybko zbliżają się do nas. Jest ich wielu.

Michael pistoletem wskazuje tunel.

– Albo ja, albo oni. Kogo wolisz?

Taksuję wzrokiem ciemny otwór w ścianie i przez sekundę czuję, że zaglądam do wnętrza swojego grobu. Kroki zatrzymują się przed drzwiami gabinetu. Szarpnięcie klamki. To nie potrwa długo.

– Nie wiem – mówię, ale nurkuję do tunelu. Gdy słyszę pierwsze zderzenie buta z drzwiami, Michael zamyka za nami biblioteczkę.